

Pokrzywy

W kościele zawsze stał z tyłu. Zgarbiony opierał się o ciężkie, drewniane drzwi. Niby był w środku. Niby tam przynależał. Do Jabłonki i jabłoneckiego kościoła, do pobliskich Kołder i ich mieszkańców, do grobów na jabłoneckim cmentarzu. Mimo to instynktownie czuł potrzebę ukrycia się, oddalenia.

Jedno odwrócenie głowy wystarczyło Elżbiecie, by go namierzyć i trącić niechętnie wzrokiem. Potem przestawała o nim myśleć aż do kolejnych Wszystkich Świętych. Przez lata widywała go samego. W tym roku przyszedł ze starym, schorowanym ojcem. Byli ciut spóźnieni. Elżbieta kątem oka zauważyła jak przeciskają się przez zatłoczony kościół w stronę ołtarza. Podniósł się gwar utyskiwań i pretensji. Ktoś się obruszył, ktoś warknął. Natrafili w końcu na Radkową z dziesięcioletnim synem, którzy ustąpili im miejsca. Skorzystali. Stary i chory na ciele; i niestary i chory na umyśle. Obaj specjalnej troski. Jego ojciec był Elżbiecie obojętny. On ją mierzył. Po tylu latach... był jak irytujące drganie powieki.

Usiedli dwa rzędy przed nią, na tych dziwnych, drewnianych, malutkich, pojedynczych ni to ławeczkach, ni to klęcznikach. Wiejskie kobiety wciskały w nie biodra opatulone w ciepłe, szerokie palta czy kozuchy. Większość z nich uczciła dwudziesty pierwszy wiek zamianą butelkowitzelonych chust w czerwone róże na beżowo-brązowe berety. Z każdej strony symetrycznie wystawał nadmiar ich odzieży. Ot, ławeczki o półtora raza na nie za wąskie, czy raczej o *pówtora*¹, jak mawiała babcia Elżbiety.

To wspomnienie babcinych archaizmów rozbawiło Elżbietę. Zaśmiała się, akurat, gdy ksiądz podnosił monstrancję. Później poczuła w środku rzewne ciepło. Nigdy nie dała po sobie poznać, ale co roku niechętnie przystawała na prośbę matki, żeby jechać sto kilometrów na jabłonecki cmentarz. Jednak kiedy stała nad grobem dziadków, kiedy chłonęła zapomniane, a wciąż bliskie zapachy, nie żałowała. Tylko z mszą nie było jej po drodze. Po tym niespodziewanym wybuchu wesołości Elżbieta oczekiwała karcących spojrzeń kobiet z klęczników, ale biedaczki niepomne wysokiej jak na listopad temperatury, cierpliwie pociły się w swych baranich kozuchach.

„Dziecko, tylko ty pamiętaj, ty musisz wyciągnąć ze strychu tę długą, niebieską puchówkę i dla Werci koniecznie ten zimowy kożuszek, co żeśmy jej z ojcem z Zakopanego przywieźli” – tak matka upominała ją przed dzisiejszym wyjazdem na groby. Dla matki Elżbiety, podobnie jak dla wszystkich stamtąd, jabłonecki kościół był trzecim ziemskim biegunem. Ludowa mądrość przekazywana z pokolenia na pokolenie. Echo dzieciństwa okupionego długim modlitewnym przemarzaniem. Nie miało znaczenia ocieplenie klimatu czy osiem stopni Celsjusza pierwszego listopada.

Kobiety w kozuchach nie zareagowały na jej śmiech. To on się odwrócił. Przez ułamek sekundy jego oczy zdawały się rozumnie na nią spoglądać. Następnie ją rozpoznać, tę dziewczynkę sprzed trzydziestu lat. Potem znowu zamieniły się w mętne, rybnie oczka wiejskiego półgłówka.

1 Pówtora - liczebnikowy archaizm

Nyakuratny. Tak mówiła o nim babcia. Tak mówili o nim wszyscy w kołderskich domostwach. A teraz *Nyakuratny* Waldek siedział blisko niej i jak zwykle jedyne, co potrafił wzbudzić, to współczucie. Po tylu latach Elżbieta miała okazję, by mu się przyjrzeć. Waldek przypominał jedno z tych zbutwiałych warzyw, które na przednówku jej dziadek wyciągał z *lochu*.² Nienaturalnie mała głowa osadzona na szczupłym, wątlwym tułowiu, który zapadał się w niedopasowane, za duże ubranie. Kurtka koloru zbrązowiałego fioletu, ze ściągaczem w pasie. Przybrudzona, wytarta na łokciach, licha i wstrętna. Na początku wieku sprzedawali je masowo na wszystkich powiatowych bazarach w towarzystwie ich siostr bliźniaczek w kolorze dziwnej zgniłej zieleni oraz kuzynów - pokracznych, poliestrowych garniturów w tych samych dwóch barwach. Właściciele tych garniturów okupowali potem stoły wiejskich sal weselnych, a kiedy popuhali przy samogonie, tarzali się w okolicznych krzakach.

Nieakuratny Waldek do kościoła założył niby-eleganckie spodnie z kaniem i czarne ubłoczone buty za kostkę. Dwie sprzeczności hołdujące i Bogu, i ziemi. W młodości był płowym blondynem, dziś jego włosy ciemnożółtej barwy zachodziły przetłuszczonymi płatami na odstające brudne uszy i przeorane zmarszczkami czoło. W niedomytej lewej dłoni kurczowo trzymał futrzaną wyliniałą czapkę z nutrii, która zapewne wcześniej należała do jego ojca. Był taki biedny, mizerny, poczciwy i przede wszystkim bezbronny. Gdzieś w trzewiach, być może blisko jej serca, Elżbieta poczuła niespodziewane ukłucie, które można było nazwać litością. Ukłucie trochę podobne do tego, które przytrafiło się jej, gdy miała trzynaście lat i zobaczyła go po raz pierwszy.

Tamtego lata przyjechała do dziadków na pierwsze, samodzielne wakacje. Przyjechała z matką, która po dwóch dniach wróciła do Lublina. Przywiózł je sfatygowany pekaes. Autobus wąskimi i płaskimi drogami przemierzał Polesie Lubelskie, zatrzymując się w co drugiej wiosce. Pokonywał stukilometrowy odcinek prawie trzy godziny.

W Kołdrach - wsi, gdzie mieszkali dziadkowie - był wprawdzie przystanek, ale jakieś dwa lata wcześniej jedyne połączenie zostało zawieszona. Od tamtej pory kołdranie musieli dotrzeć do odległej o trzy kilometry Jabłonki, by stamtąd ruszyć w wielki świat. Ela lubiła pokonywać ten dystans pieszo. Można było iść szosą albo przez pastwisko i później koło lasku zwanego przez miejscowych Olszyną, a przez Elę, na wzór Ani Shirley, Aleją Zakochanych.

Tego ciepłego letniego dnia wysiadły na jabłoneckim przystanku sąsiadującym z GS-owskim sklepem, którego nagminną obstawą byli miejscowi pijaczkowie. Matka rzuciła im nieprzychylnie spojrzenie.

— Próźniaki z czworaków. Prawdziwi gospodarze gdzie by mieli czas tak wystawać z piwkiem w środku lata, kiedy w huk roboty. A tacy kiedyś ważni byli. Do szkoły z nimi chodziłam. Ty wiesz, jak oni nas wyzywali? „Kołdery - obdziercy”, że my gorsi, bo z małej wioski, a oni że z gminy i w murowanym mieszkali. A w tym jednym czworaku to chyba z pięć rodzin siedziało.

I tak Eli upływała droga wypełniona opowieściami matki o hrabiach Zamoyskich, którzy czworaki pobudowali dla robotników rolnych, co swojego nie mieli, tylko na pańskim zasuwali, przez co w drabinie stali najniżej. A teraz ich potomkowie wystają pod sklepem GS-u. I o pałacu, w którym po wojnie zorganizowano szkołę powszechną, a wcześniej bale w nim były wystawne. I o jednym

2 Loch – określenie gwarowe na ziemną piwniczkę

z hrabiowskich synów, co był rzeźbiarzem artystą i lubił psuć wiejskie dziewczuchy. Zepsuł też Maryskę z Kołder, która taka była piękna, że nago ją wyrzeźbił i później na paryskim salonie to dzieło wystawiał. I tak oto piękne, jędrne piersi kołderskiej Maryśki *Żabojidów* zachwyciły!

Zasłuchana Ela brnęła po piaszczystych drózkach i kontemlowała widoki, które tworzyły płaski jak stół poleski krajobraz. Pastwiska, rowy, lasy, łąki i gdzieś tam zbiorniki retencyjne, dokąd broń Boże chodzić nie można, bo dosłownie wszyscy, którzy spróbowali, w nich się potopili. I piaski, wszędzie piaski. Ojciec Eli, gdy zobaczył rodzinne strony swojej małżonki, to tylko ręką machnął i rzucił z pogardą, że ta *chachlacka* ziemia to najwyżej piąta klasa, nie to co jego lessowa. Ela lubiła jednak tę piątą klasę, bo rosły na niej wielkie pomarańczowe dynie i - co później z Waldkiem sprawdzili - dorodne pomidory. Matka Eli zaraz po studiach ogrodniczych chciała cały zagon pomidorami obsadzić, bo wiedziała, że taka luźna ziemia w sam raz się nada, ale babcia postawiła zdecydowane weto:

— *Dajcie* spokój z tymi pomidorami, jak raz przed wojną spróbowałam, u *ucztyłów*³ ponaszali, to tak mnie zaszkodziło, że nawet opowiadać tego nie można. Świństwo!

Ela wiedziała, że babcia z przykrością na te pomidory psioczyła, bo w końcu nauczycielskie pochodzenie miały, co dla babci było najznakomitszą proweniencją. Choćby z tego względu, że kiedy była panią, dom nauczycieli był jedyną ostoją życia kulturalnego w Walinnie, jej rodzinnej wsi. I tam, na potańcówce, przy walczyku, takiego Staśka poznała, co go wspominała do samej śmierci. Nie poszła za niego, bo ponoć wiejskie swatki rozprawiały, że on jednak i pod pantoflem matki wdowy siedzi. A babcia za bardzo charakterna była, żeby i ona pod tym pantoflem miejsce mogła znaleźć. W każdym razie swatek posłuchała, bo kiedyś ludzie wielki *poszanunok*⁴ mieli dla ich opinii.

Co do pomidorów to żadne argumenty do babci nie przemówiły. Ani ten, że nie można po jednym pomidorze wszystkich oceniać, ani że miała pecha, ani że jak dziecko babcia uparta. Ostatecznie do końca życia bez Staśka i pomidorów babcia się *obejszła*.

Eli, na początku tamtego letniego pobytu u dziadków, doskwierała wszechobecna nuda. To, że pogoda dopisywała, działało na jej niekorzyść. Rolnicy całymi rodzinami - w tym dzieci w wieku Eli - pracowali w polu aż do późnego wieczora. Jej dziadkowie oddali już wtedy swoje piaszczyste ziemie w dzierżawę innym gospodarzom. Dzięki opłacanym wcześniej składkom, żyli z KRUS-owskich emerytur.

Pałętała się więc po podwórzu z kijkiem w rękę, wdrapywała na *loch* obrośnięty gęstym, ciemnozielonym mchem. Chodziła do stodoły, gdzie przy każdym zamknięciu drewnianych wrót, kurz z klepiska wzbijał się ku górze i w promieniach przedzierającego się przez szpary słońca, odstawał swój szalony, wibrujący taniec. Czasami rozmawiała z Bertą - dziadkową klaczą, która również była na końskiej emeryturze. Wcześniej, kiedy dziadek nie miał już siły pracować w polu, Berta została sprzedana innemu gospodarzowi z sąsiedniej wioski. Być może usłyszała ciche łkania dziadka za wierną towarzyszką, bo po pięciu dniach sama wróciła. Dziadek właśnie podnosił grubą pajdę chleba do ust, gdy nagle znajome końskie chrapy zaparowały szyby okna znajdującego się nad kuchennym stołem.

3 Ucztyłe – gwar. nauczyciele

4 Poszanunok – gwar. szacunek

Pieniądze za Bertę się zwróciło, a kobyła została *do zdochu*⁵ z dziadkami. Ponoć skandal był na całe Kołdry, że dziadek taki *durnyj jak baba jaka*, ale Ela za to właśnie dziadka kochała. I za te kajety z jego wierszami... Kajety wierszami wypełniały się w szczególności zimą, kiedy niewiele było gospodarskich obowiązków. Dziadek rymował słowa, które jak kroniki opisywały kolejny miniony rok. Powstawała kołderska saga. Ela na zawsze zapamiętała jego koślawe, dziecięce pismo z mnóstwem ortograficznych błędów. I te słowa napisane o niej: „Elunia, dziewczyneczka ma milunia”.

Pod koniec pierwszego tygodnia, w akcie desperacji, Ela przebiegła dwie łąki rozpościerające się za dziadkowym sadkiem *robacznych* antonówek. Dotarła do gospodarstwa, w którym mieszkali dzieci, jej rówieśnicy. W sieni starego, obszernego, drewnianego domu natknęła się na długie lepy konających much i staruszkę, która laską wskazała miejsce pobytu całej rodziny. Na pobliskim polu zbierali truskawki. Ela też z nimi musiała te truskawki zbierać, żeby choć trochę móc porozmawiać z Asią - jedyną dziewczynką w jej wieku w Kołdrach. Upał był okropny i Elę bolały plecy od ciągłego schylania. Na dodatek marnie jej z tymi truskawkami szło. Jej lubianki zapełniały się dużo wolniej niż u innych.

— Ot, miastowa to niezwykajna do takiej roboty w polu, e? — Zadrwił z niej ojciec rodziny.

— No to tatko teraz widzi, jakie my z Asią wprawione, prawda, Asiu? — Młodszy o dwa lata brat nieustannie chciał zaimponować siostrze i w co drugim wypowiedanym przez siebie zdaniu szukał u niej aprobaty przy pomocy tego „prawda, Asiu?”.

— Nie przejmuj się nimi — uspokajała Elę nowa koleżanka. — Nie jest tu u nas aż tak źle. Przyjdź dziś wieczorem pod ten blaszak przy skrócie na koloniję, to zobaczysz. Rowerami się pojeździ albo co innego. A w niedzielę, to już w ogóle prawie cały dzień mamy wolny. W dwa ognie albo piłkę nożną pogramy. Tam, na skraju wsi, przy drodze na Moszenki to nam boisko ostatnio zrobili. A w tamtą niedzielę nasze starsze chłopaki nawet chłopaków z Jabłonki ograli!

I rzeczywiście tego samego dnia pod blaszakiem na nią czekali — kilkoro chłopców i Joanna. Złapali wspólny język. W ruch poszły rowery, potem kije; były bitwy na miecze. W końcu zaczęli grać w zbijanego. Kiedy zaczęło zmierzchać, na szosie pojawiły się krowy, które same wiedziały, gdzie jest kres ich wędrówki. Hałasując łańcuchami po asfalcie, skręcały po kolei do swoich gospodarstw, mucząc powitalnie. Wtedy, tuż za nimi, na szosie pojawiła się krucha nastoletnia sylwetka pastuszka. Nieśmiało podszedł do dzieci i przez chwilę im się przyglądał.

— W kho ghacie? — zapytał.

— O, walnięty Waldi! Nie widzisz, tłumoku, że w zbijanego? — Pozostali chłopcy skupili się na urąganiu przybyszowi. Eli sprawiło to przykrość. Z uwagą przyjrzała się Waldkowi. Szczuplutki, jasny blondyn o bardzo delikatnych, wręcz dziewczęcych rysach, z policzkami obsypanymi drobniutkimi, brązowymi piegami. Na swój dziwny i nieszczęśliwy sposób był piękny. Eli skojarzył się ze smutnym Pierrotem, którego obrazek wisiał w jej lubelskim pokoju. Dowiedziała się później od Joanny, że pokątnie mówi się o nim *kołderski durak* albo *truncony*. Jego matka zaszła z nim „za staro” w ciążę i zmarła podczas ciężkiego porodu, zostawiając męża z trzema synami. On też ucierpiał podczas porodu. Był wolniejszy od pozostałych braci. Bardzo długo nie mówił, a potem to już u niego *ostała się taka mocno cinzka*

5 Do zdochu – gwar. aż zdechnie, w odniesieniu do zwierzęcia

mowa. Miał piętnaście lat, wyglądał na jedenaście. Trzy razy repetował siódmą klasę. Nawet do roboty w polu niezbyt się nadawał, bo cały czas się zamyślał i pod maszyny rolnicze wchodził, co raz prawie nieszczęściem się skończyło. Sporo starsi bracia raczej trzymali się od niego z daleka. Wstydzili się niemoty.

Ostatecznie, pozostałe dzieci z boiska pozwoliły mu dołączyć do zabawy. Nic mu nie wychodziło. I tak był przeschęśliwy. Łaknął towarzystwa innych, choćby szydzili.

Umówili się na następny dzień. Ela przyszła później, bo chciała spróbować przed wyjściem babcinych drożdżowych bułek z prodża. Gdy przyszła, wybrani zostali już kapitanowie piłkarskich drużyn. Jednym, jak zawsze, był Radek — herszt bandy. Na co dzień mieszkał w jabłoneckich czworakach, lato spędzał u dziadków w Kołdrach. Ela dowiedziała się od matki, że swego czasu związek jego rodziców był mezaliansem - gospodarska córka z czworackim żonkosiem. Sprawdziło się kołderskie postrzeganie świata. Ojciec Radka okazał się leniwym pijaczną, a matka zmuszona była utrzymywać piątkę drobiazgu z pensji listonoszki.

Drugim kapitanem został, o dziwo, Waldek. Chwilę potem okazało się, że przekupił bandę solidną porcją szczypek, które zostały mu jeszcze po ostatnich Wszystkich Świętych. W selekcji do drużyn, Ela i Asia były ostatnim wyborem. Jeszcze nie uświadamiały sobie, że walka płci w ich życiu właśnie się zaczęła.

—No, którą wolisz, Waldi? Naszą Aśkę? Chucherko, ale zwinna. Czy miastową z grubą dupcią? — Wypalił Radek.

Ela poczuła nieprzyjemne dźgnięcie wewnątrz swojego trzynastoletniego jestestwa. Niechciany rumieniec zdradzał jej wewnętrzną walkę ze wstydem i własną cielesnością. W ostatnim roku jej ciało zdawało się żyć własnym, równoległym życiem. Okrągłe biodra wyrosły nagle znad dziecięcych, wiotkich nóg. Piersi wielkości tenisowych piłeczek ni stąd, ni zowąd pojawiły się na ciele niczym niezamawiane wyposażenie. I to „coś” co miesiąc, co wstyd było nazywać.

— Ja tam wolę takhe ghubsiejsze, nawet i miastooowe. — Waldi dokonał wyboru. Mimo że jego słowa wcale Eli nie pocieszyły, widziała, że chłopak naprawdę przygląda jej się z aprobatą.

Tak zaczęła się ich dziwaczna wakacyjna, upalna przyjaźń. Ela często go odwiedzała, bo Waldek, w przeciwieństwie do innych dzieci, zawsze był w domu. Miała spore trudności, by się z nim porozumieć. Jego rozumienie świata było ograniczone. Choć nastoletni chłopak zachowywał się nieodpowiednio do swojego wieku, Ela postanowiła nie wybrzydzać na jego towarzystwo. Nie miała innej możliwości, więc podjęła próbę dopasowania się do niego. Zdziwiła się, jak kapitalnie było cofnąć się o parę lat, do dzieciennych zabaw.

Bawili się przeważnie „w dom”. Do tego służył im kawałek podwórka za zawalonym płotkiem przy ogródku. On był tatą, ona mamą. Dziećmi były dwa podwórkowe koty. To był szczęśliwy dom. Zgodnie dzielili się gospodarskimi obowiązkami. Uwielbiali wspólnie gotować, choćby ziemną zupę z listkami babki, robić sałatkę z mleczy czy piec placki z piachu. Często wybierali się na małżeńskie wycieczki rowerowe po okolicy.

Wieczorami dołączali do kołderskiej bandy. Przyjaźń Waldka z miastową dziewczynką bardzo podniosła jego notowania. Rzadko kiedy ktoś nazwał go tłumokiem czy *durakiem*. Już nikt się od niego nie opędział.

W końcu został zaproszony na ognisko na skraju wsi, nad „jeziorkiem”, które powstało po wykopie piachu. Wydarzenie miało służyć zbrataniu się grupy. Tam, Radek zainicjował polowanie na żaby. Nie była to „babska robota”, co do tego wszyscy, a najbardziej dziewczyny, byli zgodni.

Chłopcy na bosaka zakradali się pomiędzy trzciny i z miną łownych kotów łapali w ręce swoje trofea wrzucane potem do reklamówek. W powietrzu wyczuwalny był testosteron, zawsze dający o sobie znać podczas samczej rywalizacji. Ela i Asia siedziały na brzegu i zaciekle oganiały się od komarów. Ta walka pochłonęła dziewczyny bez reszty. Pomysł z ogniskiem, tak urzekający, teraz wydał im się bezdennie głupi. Waldek wszedł w rolę tropiciela żab i wygrał te myśliwskie zawody. Rzucił pod nogi Eli siatkę pełną podrygujących ofiar. Skrzywiła się.

—No dobra, mój ty kłusowniku. A teraz wrzuc je z powrotem do wody.

—Nieee! — krzyknął Waldek z jakimś chorobliwym błyskiem w oku. Przecież to był jego dzień, jego zwycięstwo! Zabrał siatkę, podszedł bliżej ogniska i zatknął na długi kijek pięć sztuk Bogu ducha winnych płazów. Gąbczaste, oślizgłe, ale jednak jeszcze żywe odwłoki żab gładko i bezszelestnie można było przebić zaostrzonym końcem gałęzi. Po prostu, jak gdyby nigdy nic. Włożył kij do ogniska. Zaskwierzało. Ela wzdrygnęła się i opuściła to miejsce bezdusznych mordów.

W kolejnych dniach wolała zaczytywać się dziadkowym „Poradnikiem Gospodarskim” albo wertować jego spuściznę poetycką niż widywać się z Waldkiem. Najlepiej czuła się w odkrytej na nowo głównej sionce. Panował tam przyjemny chłód i co najważniejsze nie było much - największego utrapienia miastowych letników.

—Babciu, a po co ta główna sionka? I dlaczego główna? Nigdy przecież się przez nią nie wchodzi?

—Bo ona frontowa, od szosy.

—To dlaczego wiecznie zamknięta na klucz?

—Elu, daj ty spokój. Roztwieramy ją czasem, ale tylko dla księdza, żeby przez smrody podwórza nie musiał prze - chodzić.

Ela zamknęła się w sionce i zaśmiewała dobre pół godziny. Jej wyobraźnia zapaliła się absurdalnymi scenami z księdzem dobrodziejem w roli głównej. W jednej z nich duszpasterz wchodził przez powszednie wejście od podwórza i z zadartą sutanną przeskakiwał kurze, krowie i Bercine odchody. A w drugiej, przekraczał próg sionki głównej i w należnej mu glorii „wypływał na suchy przestwór oceanu”, gdzie babcia i dziadek na klęczkach witali go chlebem i solą.

Ela złapała się za brzuch, osunęła na ziemię i w napadzie śmiechu tarzała na drewnianej klepce podłogi. Babcia *ofurczała*⁶ ją za tę ni stąd ni zowąd dziką wesołość, szatańskie podszepty. Ela jednak widziała po niej jak przymyka oczy, gładzi włosy koloru pieprzu przetkanego mąką i wraca do tamtych letnich wieczorów, kiedy ze Staśkiem wracali z potańcówki i oboje zakrywali usta pełne miłości, młodości i śmiechu. Takiego śmiechu ni stąd ni zowąd.

Ostatniej niedzieli, wieczorem, Ela wylegiwała się w dużym pokoju, który był nazywany „dużym” z racji nie rozmiaru, co sąsiedztwa z szosą. Czytała książkę, którą dziadek wygrał w konkursie literackim dla rolników.

Ktoś zapukał w okno od strony szosy. Ela podeszła i zobaczyła Waldka. Zziąjany zszedł z roweru.

6 Ofurczeć – gwar. skrytykować, przywołać do porządku

Chował coś pod rozciągniętą koszulką. Gestem zachęcił ją do wyjścia przed dom. Nic nie powiedział, tylko poczerwieniały z młodzieńczego zawstydzenia wręczył jej podarunek: tabliczkę wyrobu czekoladopodobnego, dezodorant i tombakowy odpustowy pierścionek.

— To dla cieeebie. Aszsz do Moszenek ja musiał jechać po to, odpust mieli. Przyyyjedziesz za rok?

Nie czekał na odpowiedź. Odjechał.

Eli mocniej zabiło zaskoczone serce. Pierwszy raz poczuła, że uchyla rąbka odwiecznej damsko-męskiej tajemnicy. To uczucie przesłoniło wszystko. Był to ten wyjątkowy dla każdej młodej kobiety moment, gdy wydaje jej się, że jest jedynym, słusznym celem męskich pragnień, a jej życie będzie usłane różami, gdyż każdy mężczyzna okaże się niestrudzonym w miłości średniowiecznym rycerzem.

Nie spała całą noc. Leżała jak w letargu. Jej dopiero co narodzona kobieca świadomość konfrontowała się z uczuciem do Waldka. Ich miłosne drogi były bez szans na przecięcie. Tej nocy nawet muchy Eli nie przeszkadzały. Bezwstydnie przechadzały się po zakamarkach odkrytego ciała, aż zastał ją dzień, w którym przyjechał po nią ojciec i zabrał ją do domu.

Minął rok. Ela zgodnie z oczekiwaniami Waldka przyjechała na wakacje do Kołder. Przez ten rok coś się z nią stało. Gdzieś na osi czasu wybiła dla niej godzina. Pierwsza minuta tej godziny była przy tym, co jeszcze dziecinne, ale ostatnia, przy tym, co już dorosłe.

Ela ani myślała bawić się z Waldkiem w ich podwórkowy żaloszny dom czy grać w zbijaka z Radkiem i jego bandą. Zresztą Radek też zamienił sportowe zainteresowania na trunek typu „Czar Par” wypijany w sąsiedzkim gronie przy sklepie GS-u.

Ela tego lata dużo czytała. Czasami, w zamyśleniu, przemierzała okolice. Odwiedzała tylko Asię, której przy wyluskiwaniu dyni, zwierzyła się ze swojej pierwszej miłości. Ela była zakochana, ale tak naprawdę i tak po raz pierwszy. Jej ukochany, ósmoklasista Paweł, miał długie włosy, ubierał się jak rockman i na szkolnych przerwach wyśpiewywał jej do ucha modny, rockowy kawałek o gwałcie.

* * *

Asia.

Joanna.

A teraz czterdziestotrzyletnia Elżbieta mimo corocznych odwiedzin jabłoneckiego cmentarza nigdy nie zapalała znicza na jej grobie. Nieoczekiwana śmierć wiernej, wakacyjnej towarzyszkii wiele ją kosztowała, tak jak całe Kołdry. Zginąć, w młodym wieku, w takich okolicznościach. Dobre, kochane, pracowite dziecko. Wraz z jej śmiercią wieś na zawsze pożegnała się z sielankowością. Nikt już nie wspominał o Marysce i hrabiowskim synu. Nikt nie śmiał cieszyć się dawnymi opowieściami. Już nie było jak się cieszyć.

— Zobacz, ile zapalonych zniczy! Po tylu latach wciąż o niej wszyscy pamiętają! — rzuciła matka Elżbiety, gdy mijały grób Joanny. Elżbieta nie chciała nawet spojrzeć w tamtą stronę. Nie wiedziała dlaczego. Po prostu. Z impetem zmierzała do cmentarnej alejki, gdzie spoczywali jej dziadkowie.

— Zobacz — matka prawie krzyknęła — Jaśka Kowalczukowa miała rację, że ten nowy kościelny jest całkiem do niczego. Nawet tych pokrzyw między grobami od lata nie wykosił! Elu, zobacz, jak to wstrętne zielsko wylazi na nagrobek Asi. Że też jej ojciec tego nie wyciął.

Elżbieta niewzruszona dotarła do mogiły dziadków. Przykucnęła. Dotknęła płyty nagrobnej. Próbowała przypomnieć sobie modlitwę za zmarłych. Nie umiała. W jej głowie zamiast pacierza rosły pokrzywy.

* * *

Drugiego kołderskiego lata, Asia bez zawiści wsłuchiwała się w miłosne zwierzenia Eli. Sama snuła niespełnione fantazje o tym, co niechybnie i ją musiało spotkać.

— Żeby tak tylko dostać się do liceum w Parczewie, albo może i do Białej się uda — przekonywała Ela — to i mnie się trafi. Tutaj w Kołdrach, to kto jest? Chłopaki, no daj mi, Ela, spokój, wsiowe same. Ale tam, kto wie...

Ela zauważyła, że od ostatnich wakacji, Asia fizycznie bardzo się zmieniła. Podążała tą samą ścieżką co ona. Jej chuderlawe, dziecięce ciało zyskało dyskretne kobiece zaokrąglenia. Pasiasty pomarańczowo-brązowy golfik opinał jej już niedzięciwą klatkę piersiową i podkreślał wypukłości. Asia, tak jak Ela, pragnęła obezwładnić kogoś dopiero co rozkwitłym kobiecym ego. Obie poczuły jedność nastoletnich dziewczęcych dusz.

W tamtym okresie oprócz składania wizyt swojej kołderskiej przyjaciółce, Ela chodziła na długie spacerów. Chciała zebrać myśli po przełomowym w jej życiu roku szkolnym. Cieszyła się, że została jej tylko ostatnia klasa podstawówki. Któregoś razu zabrnęła aż na skraj Kołder, w pełną drogę tuż za „jeziorkiem”. Dostrzegła na horyzoncie Waldka pedałużącego zapalczywie na rowerze. Podjechał, zsiadł i nienaturalnie do niej doskoczył. Miał szesnaście lat. Zmężniał i wyrósł. Nie miał już w sobie nic z Pierrota.

— Elkaaaa, co szweendasz się?

— Cześć, Waldi, co u ciebie? — spytała od niechcienia. Z grzeczności udała zainteresowanie. Nie w smak jej była utrudniona, jak zwykle, rozmowa z nim.

— Aaa co u mnie?! A góóówno! A ty szweeeendasz się codziennie. Ja ciebie przyuważył. A do Waldieego już się nie zajdzie na podwórko, a dooom ja nasz znooowu urządził, a ciebie nie ma i nie ma. — Wykrzywił twarz ni to w rozpaczy, ni to w gniewie.

Rozbawił ją „mażeńskimi” sentymentami. Próbowała powstrzymać się od śmiechu. Nie wyszło. Waldi odwrócił się gwałtownie. Zrobiło jej się głupio, bo ten śmiech dotknął go, ubódl. Chłopak pobiegł na skraj łąki, tam gdzie przecinał ją rów melioracyjny, i w pośpiechu zaczął rwać pędy pokrzyw. Nieczuły na pojawiające się na dłoniach palące pęcherze uderzył potężny wiecheć. Zanim Ela zorientowała się o co w tym wszystkim chodzi, poczuła na skórze smagnięcia i zapiekłość mrówkowego kwasu. Trafiał wiechciem gdzie popadło – w uda, łydki, łokcie, nawet w twarz. Wszędzie. Znieruchomiała. „Czy Berta uciekła od tamtego gospodarza, bo nie znała wcześniej tęgich razów batem?” Ta myśl popchnęła ją do ucieczki, w stronę łąki. Dopadł ją. Złapał za bluzkę na wysokości pleców i szarpnął do tyłu. Przewróciła się na plecy. Położył się na niej i przytknął rękę do jej ust. Poczula na sobie kościstość jego żeber i nieprzyjemną woń oddechu. Zaczął się na niej kołysać. Dotykał jej piersi. Jego oczy były roziskrzzone. Było w nich coś z tamtego razu, kiedy ukradkiem poszli za jego ojcem i braćmi do sąsiada. Bracia Waldka prowadzili na kawałku sznura ich wiecznie warczącego psa Granata, a sąsiad był właścicielem rosłej, silnej suki. Mariaż doskonały. Waldek i Ela ukryli się, żeby przez płot oglądać spektakl psiego zbliżenia. Waldek bacznie obserwował, a potem zaczął z radości

podskakiwać:

- Biooorą ślub. Biorą ślub. Taaak *brejdaki*⁷ gadały.- szeptał rozemocjonowany.

- To nie ślub, debilu. Chodźmy stąd. Pełno tu pokrzyw. - Wyszczła do niego. Wtedy.

A teraz, walczyła, targała się i wymachiwała nogami. Z polnej drogi wyjechał kombajn. Kierowca dostrzegł z wysokości swojego siedzenia płataninę ich ciał. Podniósł się. Chciał się przyjrzeć. Odgłos nadjeżdżającej maszyny wystraszył Waldka. Poluzował uścisk. Ela natychmiast wyrwała się i dobiegła do polnej drogi. Przebiegła koło „jeziorka” — miejsca zagłady żab, i dalej, dalej, byle do szosy. Byle dać radę. Tak jak Berta.

Wycieńczona wpadła na podwórze. Babcia wracała z wieczornego udoju.

— Eluniu, a co tobie?

— Nic, nic. Poparzyłam się, babciu. Jak piecze. Moje nogi, babciu, babuniu - lamentowała jak nigdy wcześniej. Oparła się o wejście do *lochu*. Dyszała. Łzy spływały po bąblach na jej policzku. Ich słoność podrażniała skórę. Podbiegła do babci i wtuliła się w nią. Pod lnianymi halkami wyczuła jej starcze, wiszące piersi, do których we wczesnym dzieciństwie zawsze się przysuwała, gdy dzieliły z babcią łóżko. Była wtedy Elunią, *Jelźbietką*, milutką dziewczynką. Zatrzymała się nagle w tej nostalgii. „Nic już”-myślała. Coś się kończy, coś zaczyna. Smaki i za- pachy dzieciństwa. I tak była na jego ostatniej prostej. Paweł. Miała Pawła i jego „Schody do nieba”. Po cholere jej te całe Koldry, zacofane, nudne i niedorzeczne. Nieakuratne jak ten cały Waldek. Ela nie chciała już tych kajetów z wierszami, zagajników, dyni, polanek, żab, ognisk, gry w zbijanego, bułek z prodża. Nie będzie już gadać z Bertą. Głupia Berta. Do rzeźnika z nią. Niech do Włoch jedzie. Niech się nią tam nażrą!

Z chałupy wybiegł przerażony dziadek.

— Co jej, co jej?

— Ano nogi se poparzyła. Czerwone takie. Ale jak to? Gdzie ten wrzątek był? — dociekała babcia.

Dziadek wrócił do domu i rozbił w pośpiechu trzy jajka, wydzielił białka. Starsi koldrzanie sądzili, że kurze białko pomaga na oparzenie. Zacofany dziadek, nieudacznym grafoman!

— Nie, dziadku. Nie trzeba! To były p o k r z y w y. - Usłyszał.

Elżbieta usiadła na dziadkowym łóżku. Głowę ciężko ułożyła na blacie stołu, stopy oparła o twarde przedmiot. Był nim dwukolorowy, wiklinowy kosz. Nigdy wcześniej takiego nie widziała. Zajrzała. Pod niedbale wepchanymi męskimi łachami ukryte były kasety VHS. Te same, na które natknęła się z Waldkiem w pokoju jego starszych braci. Bezwłose trójkąty ciała. Postenerdowska rozrywka. Przez okno nad stołem zobaczyła ich. Dopiero wtedy. Naprawiali dziadkowi drzwi od stodoły. Berta machała ogonem, przyjaźnie wyciągała w ich stronę swoje chrapy.

* * *

Powrót samochodem z jabłoneckiego cmentarza do Lublina był dłuższy niż zazwyczaj. Mierzony nie zegarkiem, ale bezkresnym strumieniem myśli. Udało się jej życie, mimo wszystko. Joannie nie. Elżbieta zdołała wyrwać światu te trzydzieści lat. Matura, studia w stolicy, alkohol, seks, miłość, mąż, dziecko, pieniądze. Elżbieta nie rozpamiętywała Kołder. Czekają na nią życie pełne możliwości: języki

obce, podróże, romanse. Po co tę głupią wieś wspominać! Najpierw umarł dziadek, potem babcia przeprowadziła się do Lublina. Nie było powodu, by tam jeździć.

Z wiekiem, Elżbieta zaczęła opowiadać swojej córce Weronice, jak to kiedyś było. Jak odwiedzała wioskę na głębokiej prowincji, we wschodniej Polsce, gdzie czas się zatrzymał. Sześćioletnia Weronika nazwała ten kołderski żywot „starożytnym”. Bez Internetu, telefonii, a cóż mówić, że i bez kanalizacji, był dla niej tak odległy. Elżbietę bawiło to określenie.

Wiadomość o tragicznej śmierci Asi dotarła do Elżbiety, kiedy była w drugiej klasie liceum. W jej życiu był już wtedy inny Paweł, który zaczytywał się z kolei w Gombrowiczu, a Elżbieta udawała z miną znawcy, że również ceni sobie erotykę w literaturze.

Słyszała od matki, że o pomoc w rozwikłaniu morderstwa Joanny lokalna policja ostatecznie poprosiła śledczych z Lublina. Ciało dziewczyny zostało wyłowione ze zbiornika retencyjnego znajdującego się w połowie drogi między Jabłonką a Kołdrami. Przy Alei Zakochanych. Działania operacyjne, szczególnie te na początku, prowadzone były dość chaotycznie. Kołderska społeczność sugerowała, że mordercą musiał być ktoś obcy. Obcy. Jakiś *inszy*. Na pewno nikt z wioski. W Kołdrach wszyscy są ze sobą skoligaceni, spowinowaceni i wiedzą o sobie wszystko. Śledztwo utknęło w martwym punkcie na kilka lat. Potem pojawiła się poszlaka, która łączyła zbrodnię z Radkiem. Podobno ktoś z Kołder podsunął ten trop policji. Świadkowie potwierdzili. Widywano z nim Joannę pod sklepem GS-u. Badania DNA jednak go wykluczyły.

Tamtej nocy po powrocie z jabłoneckiego cmentarza, Elżbieta leżała jak w letargu, podobnym do tego sprzed trzydziestu lat. Rano, na wpół przytomna, włączyła komputer. Po czterdziestu minutach wynotowała na kartce numer telefonu. Wystukała go na klawiaturze. Odebrał funkcjonariusz lubelskiego Archiwum X.⁸

— Dzień dobry. Dzwonię w sprawie szesnastoletniej Joanny Lewczuk, zgwałconej i zamordowanej dwadzieścia siedem lat temu. Mieszkanki Kołder, województwo lubelskie. Pobieraliście wtedy próbki DNA sprawcy. To mógł być on. – Przyciszonym głosem dokończyła zdanie. Potem zawahała się.
— Albo któryś z nich. — Dodała już pewniej.

⁸ [Polski Wydział Spraw Otwartych i Niewyjaśnionych, czyli Archiwum X](#) — działa przy każdej wojewódzkiej komendzie policji.